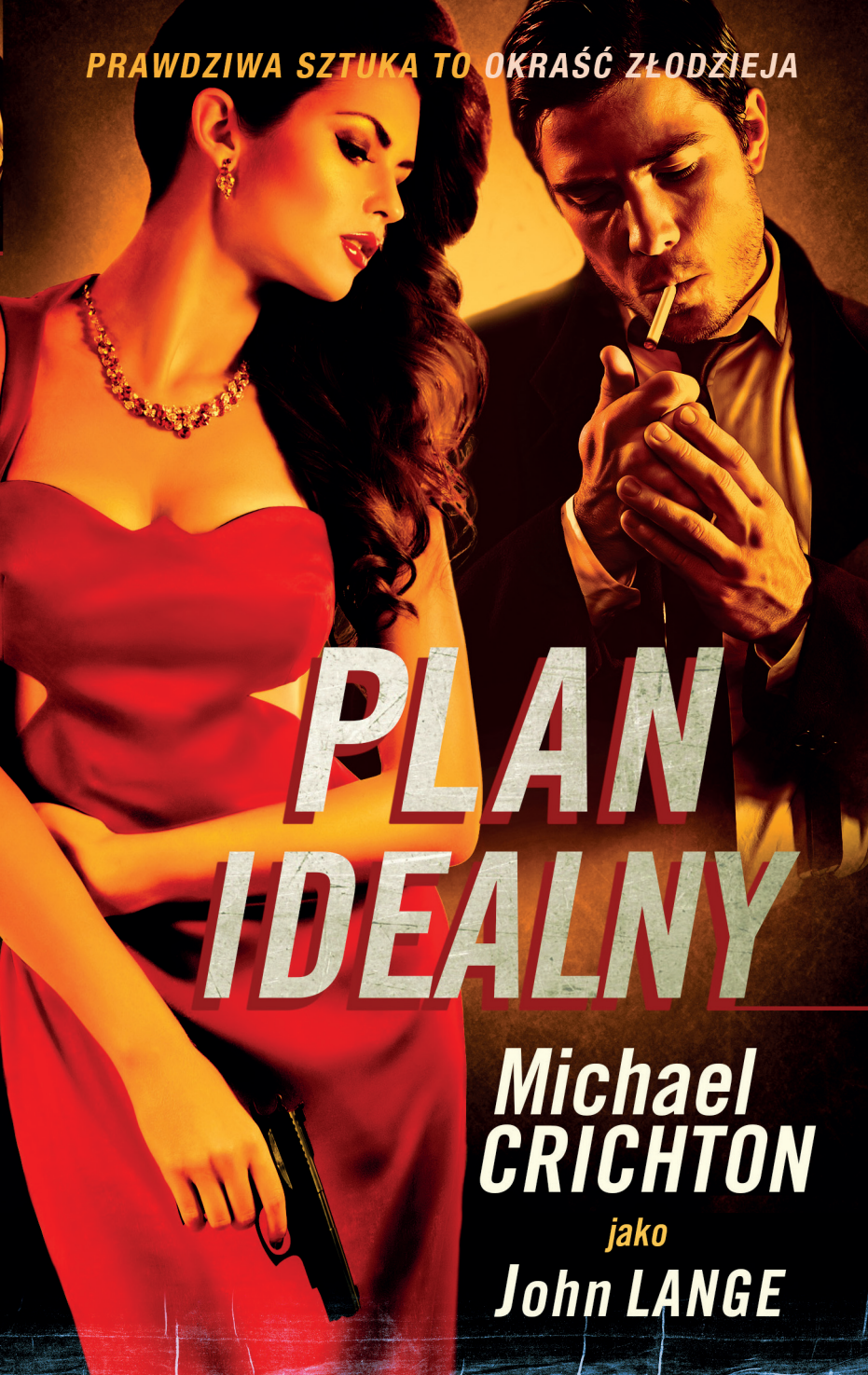
PRAWDZIWA SZTUKA TO OKRAŚĆ ZŁODZIEJA
PLAN IDEALNY
Michael CRICHTON
jako
John LANGE

SOBOTA, CZTERNASTY CZERWCA

LE PERTHUS, FRANCJA

Dynamit, starannie zapakowany w papier pakunkowy z napisem „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin", leżał jak gdyby nigdy nic na tylnym siedzeniu. Kilka godzin temu Miguel przykrył go sportową marynarką, tak więc stojąc w kolejce samochodów czekających na odprawę celną i wjazd do Hiszpanii, nie poświęcał mu żadnej uwagi. Paczka była czymś najzupełniej normalnym, a przez to absolutnie bezpiecznym.

Wyłączył silnik simki i zapalił papierosa, czując, jak upalne powietrze gęstnieje wokół samochodu. Przez cały dzień panował nieznośny upał. Dostawę zaplanowano na szóstą rano w Marsylii, ale jak zwykle wystąpiły problemy i kiedy w końcu sukinsyn pojawił się o dziewiątej, zażądał okazania dowodu tożsamości. Jakby tego było mało, wściekał się, że Miguel nie mówi po francusku. Miguel doskonale mówił po angielsku, podobnie jak po niemiecku i w języku suahili – no i oczywiście po hiszpańsku. Urodził się w Meksyku, wychowywał w Teksasie, a szkolił się i hartował w

amerykańskiej armii. Majątek zbił w Europie, po wojnie – była to skromna fortuna, ale wystarczająco duża. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych zajmował się pieniędzmi – zresztą nadal to robił – w Jugosławii, Turcji i Egipcie, a następnie przerzucił się na zegarki i aparaty fotograficzne. Japończycy znacznie uszczuplili jego dochody, zmniejszając zapotrzebowanie na produkty z Niemiec i Szwajcarii; od tamtej pory rynek nie był już taki sam. Właśnie wtedy Miguel zainteresował się bronią, lecz tu też sytuacja wyglądała nieciekawie – rebeliantów ubywało, a dostęp do broni był coraz bardziej powszechny. Ostatnie pół roku spędził w Bejrucie, gdzie palił hasz i zajmował się stręczycielstwem, aż w końcu skontaktował się z nim Bryan. Bryan był dobrym człowiekiem, rozważnym i szczerym, ale nie zdradził szczegółów, i Miguel miał mu to za złe. Nie lubił przemycać bez powodu. Bryan zapewnił go, że powód jest cholernie dobry i że Miguel będzie musiał jedynie zaczekać. I choć Miguel wykłócał się jak diabli, Bryan nie puścił pary z ust.

Tak więc czekał.

Spojrzał na długą kolejkę samochodów i hiszpańskich celników w zielono-czerwonych mundurach i śmiesznych czarnych czapkach. Na szczęście nie zaglądali do bagażników. Miguel celowo wybrał to przejście graniczne; było tu gorąco i tłoczno, dlatego liczył na pobieżną kontrolę. Zwykle Hiszpanie nie byli nadgorliwi, chyba że dostali cynk.

Pamiętając o tym, Miguel przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Marsylski kontakt, cuchnący

czosnkiem gruby drań, pomógł ukryć dynamit w bagażniku opla i Miguel, choć nikt go o to nie pytał, wspomniał, że wiezie towar do Hiszpanii. Francuz z pewnością uznał, że Miguel pojedzie wszędzie, tylko nie do Hiszpanii, mógł więc powiadomić Włochów albo Austriaków, i tak nie miało to znaczenia. Miguel jechał na wschód, z Marsylii do Cassis, bezustannie sprawdzając, czy nikt nie siedzi mu na ogonie. W końcu porzucił opla i przesiadł się do simki. Nie zatrzymał się na lunch, chcąc mieć pewność, że przekroczy granicę przed najgorętszą porą dnia.

Powoli kolumna samochodów sunęła do przodu.

Samochód był pomysłem Bryana. Został wynajęty Miguelowi, zarejestrowany w Paryżu i opatrzony czerwoną tablicą rejestracyjną o numerze TTA 75, która wskazywała, że pojazd należy do amerykańskiego turysty. Jego paszport – ten prawdziwy – był amerykański, tak więc wszystko wyglądało jak najbardziej legalnie. Tego właśnie chciał Bryan, szczery zawsze wtedy, gdy było to możliwe. Miguel uśmiechnął się znacząco. Bryan był nazbyt ostrożny, przez co nie potrafił blefować. Miguel zastanawiał się, co Anglik by zrobił, gdyby wiedział, że Miguel przekracza granicę z towarem na tylnym siedzeniu samochodu.

Nie żeby Miguel wierzył w podejmowanie ryzyka, wręcz przeciwnie. Miał udawać turystę i zadał sobie wiele trudu, by spotęgować to wrażenie. Miał nowe sportowe ubranie, które nawet jak na jego swobodny gust były dość ordynarne. Samochód zawalony był mapami, przewodnikami i opakowaniami po rolkach

filmu – efekt tygodniowej podróży przez południową Francję. W ciągu tego tygodnia Miguel był prawdziwym ciekawskim, pstrykającym fotki turystą, więc zarówno on, jak i samochód wyglądali autentycznie. Wrażenie było jednoznaczne i niemożliwe do podrobienia.

Poprzedzający go samochód przekroczył granicę. Miguel zatrzymał się i przez opuszczoną szybę podał celnikowi paszport. Ten wręczył go mężczyźnie w małej, przeszklonej klitce, który naprędce przybił stempel. Odzyskawszy paszport, Miguel podał celnikowi zieloną kartę, dowód rejestracyjny i ubezpieczenie. Urzędnik nie wydawał się zbytnio zainteresowany.

– Papierosy? – spytał.

– Nie – odparł Miguel.

– Alkohol?

– Nie.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Dokąd pan jedzie?

– Do Barcelony, a później do Madrytu. – Pilnował się, by niezdarnie wymawiać nazwy.

Celnik zwrócił mu zieloną kartę i machnięciem ręki kazał jechać dalej.

Miguel jechał wolno krętą drogą, mijając pofałdowane zielone wzgórza, pola pszenicy, a od czasu do czasu kryte czerwonymi dachami wiejskie domy. Najbliższą noc spędzi w Geronie, uczci przekroczenie granicy solidnym pijaństwem, a rankiem wróci do hotelu. Bryan mówił, że to luksusowy hotel z mnóstwem panienek. Spotkanie tam potraktuje jako dodatkową korzyść, miłą odmianę.

LONDYN, ANGLIA

Bryan Stack słuchał Jane, która spała spokojnie u jego boku. Oddychała regularnie ze spokojem w pełni odprężonej, zadowolonej kobiety. Odgarnął jej z twarzy kosmyk ciemnych włosów i spojrzał w zamyśleniu na arystokratyczny nos, kości policzkowe i zmysłowe pełne usta. Cóż, nic dziwnego, że miała piękne rysy twarzy; była w końcu jedyną córką lorda Averetta. Uśmiechnął się do siebie. Gdyby tylko starzec wiedział.

Wyślizgnął się z łóżka, po omacku znalazł paczkę papierosów i podszedł do okna. Przez ciemne krople deszczu, który bębnił o szyby, dostrzegł widoczną w dole, rozmazaną, ciemnozieloną plamę wyludnionego Hyde Parku. Zastanawiał się, jak jej to powie. Powinien był wspomnieć o tym kilka tygodni temu, ale nie potrafił znaleźć słów.

– Bryan? – Głos miała zaspany.

– Przepraszam – rzucił. – Myślałem, że śpisz. – Spojrzał na nią, nagą pod cienkim białym prześcieradłem, które podkreślało pagórki jej piersi i delikatną krągłość pełnych bioder. Przeciągnęła się leniwie.

– Bo spałam – mruknęła. – Ciepło tu. Dlaczego nie otworzysz okna?

– Pada deszcz.

Westchnęła.

– Angielskie lato. Zapal mi papierosa, dobrze? Dzięki. – W ulotnym blasku płomienia zapalniczki pochwyciła jego spojrzenie. – Coś się stało?

– Oczywiście, że nie.

W ciemności przyjrzała się jego twarzy, studiując rysy, jakby liczyła, że coś z nich wyczyta. Wiedziała, że Bryan jest mistrzem skrywania uczuć. Ta twarz, przystojna i fascynująco okrutna, była jego cechą charakterystyczną.

– Zostawiasz mnie – odezwała się.

– Tak.

– Dokąd jedziesz tym razem?

– Do Włoch – skłamał.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił, kochanie.

– Wiem.

Chciał dodać, że wcale nie ma ochoty tam jechać, ale nie do końca byłoby to prawdą. Odkąd sięgał pamięcią, Bryan Stack był okrytym złą sławą człowiekiem czynu. Żył dla adrenaliny – a jego kobiety żyły dla otaczającej go aury radosnego podniecenia.

– To coś niebezpiecznego?

– Nie jestem pewien. Prawdopodobnie. – Wiedział, że Hiszpania to idealne miejsce na wycięcie takiego numeru. Państwa policyjne były pod tym względem znacznie gorsze. Tak czy siak, na papierze wszystko wyglądało jak należy.

– Na długo wyjeżdżasz?

– Jakieś dwa tygodnie.

Jane westchnęła. Już wcześniej czekała na niego wiele razy. Czekała dłużej niż dwa tygodnie. Jakoś to zniesie. Znowu się przeciągnęła, czując w mięśniach przyjemne mrowienie – znak, że budzi się w niej pragnienie. Siedział u jej stóp na skraju łóżka. Omiotła wzrokiem

jego nagie ciało. Znała każdy jego skrawek, każdy nabrzmiały mięsień, każdą bliznę. Kochała je i potrzebowała go. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał, była niespokojna jak kotka w rui, włóczyła się po ulicach i barach niczym pospolita dziwka i od czasu do czasu sypiała z przygodnymi mężczyznami, którzy wyglądali, jakby byli w stanie ją zadowolić. Ale nie byli, co jeszcze bardziej potęgowało tęsknotę za Bryanem. Bryan był jedyny w swoim rodzaju – umiał ją przytulić, podniecić, doprowadzić do takiego stanu, że nie wiedziała kim ani gdzie jest, a potem, już po wszystkim, uspokajał ją i przywracał do rzeczywistości. Robił to z taką siłą i pewnością siebie.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała.

Zawahał się.

– Jutro rano.

Pokiwała głową, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi. Już wszystko zaplanował. Bryan zawsze wyjeżdżał w pośpiechu i zawsze wracał nagle i nieoczekiwanie. Taki właśnie był.

Mrowienie wyraźnie się nasiliło. Czuła ciepło, które rozlewało się po wewnętrznej stronie ud. Podrapała się w ramię, zastanawiając się, czy to tylko przelotne pragnienie, które lada chwila minie, i czekała. Uczucie nie minęło i jeszcze bardziej przybrało na sile. Uniosła nogę i zrzuciła prześcieradło, ciesząc oczy sposobem, w jaki spoglądał na jej nagie ciało.

– Bryan – zaczęła. – Pragnę cię. Teraz.

– Myślałem, że masz już dość. – Uśmiechnął się w ciemnościach.

– A ty?

Nie odpowiedział. Zamiast tego położył się obok i pocałował ją, kąsając jej miękkie wargi. Jego ręce, silne i pewne, błądziły po jej szyi i piersiach, wędrując niespiesznie w stronę płaskiego brzucha. Gdy pocałował ją w ucho, zalała ją fala rozkoszy, sprawiając, że wbiła biodra w materac i rozłożyła nogi. Chwilę później zaczął całować jej piersi, wodząc po nich językiem, aż sutki stwardniały i się zmarszczyły. Z gardła Jane wydobył się cichy jęk. Jej ciało zaczynało żyć własnym życiem, a ona przestała się kontrolować. Czuła, jak mięśnie brzucha napinają się, kiedy wsunął rękę między jej nogi.

Jęknęła, gdy w nią wszedł, uniosła biodra, pragnąc go i pozwalając, by wszedł jeszcze głębiej. Przez moment zastanawiała się, czy do niej wróci, jednak po chwili wszystkie jej myśli utonęły w rosnącym przypływie namiętności.

CAMBRIDGE, MASSACHUSETTS

W piwnicy laboratorium obliczeniowego panowała cisza. Steven Jencks słuchał stłumionych odgłosów pracy w otaczających go pokojach ze szklanymi ścianami. Po jego lewej stronie sekretarki i doktoranci ślęczeli nad wydrukami komputerowymi albo pisali programy, po prawej znajdował się pojedynczy pokój, w którym umieszczono sorter kart. Urządzenie pracowało, przerzucając karty z danymi i wrzucając je do rzędu

przegródek.

Główny komputer, IBM 7090, znajdował się na górze, na parterze. Jencks był tam ledwie chwilę i przyglądał się, jak komputer skanuje programy. Choć wielokrotnie widział urządzenie w trakcie pracy, wciąż nie przestawało go zadziwiać. Mógł godzinami patrzeć na światełka migające na konsolach sterowania albo jak szpule się obracają, przekazując wiedzę zgromadzoną na taśmie magnetycznej.

To był drogi sprzęt. Godzina pracy z komputerem kosztowała kilkaset dolarów, a on musiał wykupić pełną godzinę, choć w zupełności wystarczyłaby mu minuta lub dwie. Za resztę pieniędzy opłaci techników wprowadzających do komputera surowe dane i karty programowe, które urządzenie przeniesie na taśmę. Komputer pracował wyłącznie na wgranych instrukcjach i danych. Karty perforowane były dla niego zbyt wolne.

Jako że miał dostęp do dziurkarki kart, Jencks dostarczył kartotekę gotową do działania. Technicy byli wyraźnie zaskoczeni, a zarazem wdzięczni. Jednak Jencks nie spędził dwunastu wyczerpujących godzin w towarzystwie wielkiej maszyny – która cięła malutkie prostokąty na dziurkowane karty – z sympatii do techników. Odwalił tę żmudną robotę, bo nie chciał, by ktokolwiek o tym wiedział.

Był to specjalistyczny projekt, który mógł sprawić, że ludzie zaczną gadać.

Technik imieniem Allerton, młody doktorant w okularach z grubymi szkłami i z czupryną czarnych włosów, podszedł do niego, gdy Jencks dopijał colę.

– Doktor Jencks?

– Tak. – Jencks nie był żadnym doktorem, ale nie widział potrzeby, by cokolwiek wyjaśniać.

– Pańskie dane powinny być gotowe za kilka minut.

Poszli na górę i patrzyli, jak 7090 wypluwa kolejne strony obliczeń zapisanych z niezwykłą prędkością na szerokich arkuszach zielonego papieru, które wpadały do stojącego na podłodze drucianego kosza.

Drukarka przestała pracować i klikając, czekała na uruchomienie kolejnego programu. Ponieważ praca z komputerem była kosztowna, maszyna działała niemal bez przerwy, przetwarzając kolejne porcje danych.

– Pański projekt będzie następny – oznajmił Allerton.

Gdy to powiedział, drukarka zaczęła zapełniać kartkę w oszałamiającym tempie i zadrukowywać ją rzędami liczb. Jencks próbował nadążyć za nią wzrokiem, ale rozbolały go oczy. Po minucie zatrzymała się i znowu zaczęła klikać. Allerton oddarł pas papieru, oddzielając wydruk od leżącego nad drukarką czystego arkusza. Sięgnął po gruby plik zadrukowanych stron i wręczył je Jencksowi.

– Zrobiliśmy dwie kopie – oznajmił. – Czy to wystarczy?

– Tak.

– Chce pan odzyskać karty z danymi?

– Tak, jeśli uda się panu je znaleźć. – Starał się mówić swobodnie, tak by nie zdradzać zdenerwowania. W rzeczywistości był bardzo zdenerwowany. Chciał, by wszelkie ślady projektu zniknęły z laboratorium.

– Chyba wiem, gdzie są – odparł Allerton i oddalił

się, zostawiając go samego.

Allerton widział program i z zainteresowaniem przyglądał się danym. Wiedział, że Jencks przeprowadził symulację. Nie miał pojęcia, o co chodziło, ale wystarczająco dobrze rozumiał jej naturę. Był to program CRIPA używany do testowania najlepszych sposobów, by łączyć szeregi rozmaitych zadań prowadzących do wspólnego celu. Przemysł wykorzystywał go do budowy skomplikowanych maszyn, takich jak samoloty odrzutowe czy łodzie podwodne. W rzeczywistości program CRIPA – skrót od Critical Path Analysis* – został po raz pierwszy użyty w projekcie Polaris. Chodziło o to, by dowiedzieć się, które działania odgrywają kluczową rolę w harmonogramie budowy, i dopilnować, by zostały wykonane dobrze i na czas.

Jencks wprowadził do programu jakieś dane. Allerton nie przejmował się tym, czego dotyczyły; koniec końców chodziło o kilka liczb, może nawet o hipotetyczny eksperyment, jak symulacja ruchów cząstek elementarnych profesora Forte'a.

– Proszę. – Allerton znalazł karty i zwrócił je Jencksowi w długim na metr, wąskim kartonowym pudełku.

– Dzięki – odparł Jencks, wsuwając pudełko pod ramię. Sięgnął po aktówkę, w której schował wydruki z komputera.

– Powodzenia z rozwiązaniem problemu – dodał Allerton, widząc, że Jencks szykuje się do wyjścia.

---

* Analiza Ścieżki Krytycznej.

– Będzie mi potrzebne – odparł szczerze.

Powoli opuścił laboratorium i złapał taksówkę na lotnisko Logan.

Trzy godziny później patrzył, jak nowojorski taksówkarz pakuje do bagażnika jego walizki. Jencks usiadł na tylnym siedzeniu z aktówką u boku.

– Na lotnisko Kennedy'ego – polecił.

– Spieszy się pan? – westchnął kierowca.

– Nie – odparł Jencks.

Należał do ludzi, którzy nigdy się nie spieszą. Prowadził spokojny tryb życia, lubił planować i doprowadzać wszystko do końca. Został obdarzony dobrą pamięcią i bystrym umysłem i wiedział, jak je wykorzystać. Steven Jencks był odnoszącym sukcesy, profesjonalnym hazardzistą. Sięgnął do kieszeni po telegram, który otrzymał dziś rano w Nowym Jorku, tuż przed wylotem do Bostonu. Znalazł depeszę razem z rachunkiem za hotel i plikiem nowo nabytych czeków podróżnych.

UZGODNIJ HARMONOGRAM
FILMOWANIA SPOTKANIE W
PLANOWANYM MIEJSCU REKWIZYTY
GOTOWE

BRYAN

Wiadomość była zwięzła. Świadczyła o tym, że Bryan jest człowiekiem o podobnych poglądach, który przechodził od razu do sedna sprawy i nie bawił się w głupie gierki.

Ale co z trzecim mężczyzną? Bryan zapewniał go, że jest dobry i można mu ufać. Jednak Jencks wolał wstrzymać się z oceną do czasu, gdy go pozna. Koleś był przemytnikiem, a przemytnicy mieli w zwyczaju działać na dwa fronty (na myśl o tym Jencks się uśmiechnął) i dawać nogę, gdy tylko robiło się gorąco.

Taksówkarz przejechał przez tunel i skierował się w stronę Belt Parkway. Jencks wsunął telegram z powrotem do kieszeni. Pozbędzie się go później. Może kiedy dotrze na lotnisko, spuści go w toalecie.

– Wybiera się pan za granicę? – zagaił taksówkarz.

– Tak – odparł ozięble Jencks.

– Do Europy? – Mężczyzna zignorował jego ton.

– Nie, do Afryki.

– Do Afryki. Bez jaj. Gdzie dokładnie?

– Timbuktu.

– Nie mam pojęcia, gdzie to jest – przyznał taksówkarz. – Jest pan handlowcem, czy jak?

– Białym myśliwym – odparł Jencks, myśląc w duchu, że po części to prawda.

Kierowca się roześmiał.

– W porządku, proszę pana. Człowiek wie, kiedy ktoś sobie z niego żartuje.

– Czasami – przyznał Jencks. – Ale tylko czasami.

NIEDZIELA, PIĘTNASTY CZERWCA

CANNES, FRANCJA

Peter Merritt Ganson IV wyszedł, drżąc, z wody i padł na pasiasty materac na plaży hotelu Carlton. Jenny pomachała mu radośnie i krzyknęła coś do niego.

– Suka – mruknął pod nosem.

Szybko wytarł się ręcznikiem, patrząc, jak skóra pokrywa się gęsią skórką. Woda była za zimna. Mówił jej, ale ona się uparła, wiedząc, że to go zdenerwuje. Peter nie lubił, gdy woda w oceanie była chłodniejsza od ciepłej kąpieli. Dlatego bardziej od śródziemnomorskich kurortów wolał dom swoich rodziców w St. Thomas. Co tu dużo gadać, przez większość roku Morze Śródziemne było po prostu zimne.

Ale nie chłodniejsze od Jenny, pomyślał poirytowany.

Jeszcze dwa tygodnie temu marzył o wakacjach z Jenny. Siedząc w małym pokoju w Eliot House, z widokiem na uliczny ruch na Boylston Street, planował sielankowe dwa miesiące na Starym Kontynencie. Dzięki marzeniom przetrwał trzy tygodnie egzaminów na

trzecim roku studiów, a teraz wyglądało na to, że wszystko legło w gruzach.

Jenny oznajmiła, że nie prześpi się z nim aż do ślubu. Była to ta sama śpiewka, której miesiącami słuchał w Cambridge i wciąż nie miał pojęcia, jak zmiękczyć Jenny, choć Bóg jeden wiedział, że próbował już wszystkiego.

Kiedy zgodziła się spotkać z nim potajemnie w Paryżu, założył, że chce się z nim przespać. Przecież idiotyzmem było, aby dwoje ludzi, którzy wyjeżdżali wspólnie na osiem tygodni, ani razu nie poszło do łóżka, prawda?

Osobne pokoje, buziaki na dobranoc. Chryste.

Czując na plecach zimną wodę, podniósł wzrok i zobaczył Jenny, która strzepywała nad nim rękę.

– Dzięki – rzucił.

– Boże, aleś ty dziś radosny. – Usiadła obok niego na materacu i zaczęła czesać ciemnoblond włosy.

– Nie miej do mnie pretensji.

– Nie mam do ciebie pretensji. Po prostu nie rozumiem, skąd te żale, zwłaszcza że od początku byłam z tobą szczera. Zachowujesz się, jakbym cię oszukała, a tak nie jest. Chciałabym, żebyś przestał zachowywać się jak nudziarz gadający bez końca o jednym i tym samym.

– Przykro mi, że uważasz mnie za nudziarza.

Jenny westchnęła, spojrzała na słońce i nic nie powiedziała.

– Może nie powinniśmy razem podróżować – rzucił, przygryzając wargę. Robił tak, gdy się denerwował.

– Skoro myślisz, że tak będzie lepiej.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że nie żartuje. Bez niego byłaby szczęśliwa, prawdopodobnie odwiedziłaby przyjaciół rodziny w Szwajcarii i Amalfi. Na myśl o tym ciarki przeszły mu po plecach. Przeniósł wzrok z twarzy Jenny na jej ciało. Jak zwykle go kusiło – duże, jędrne piersi, wąska, gibka talia, długie, szczupłe, umięśnione nogi. Jenny była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, i emanowała zaraźliwym entuzjazmem charakterystycznym dla dziewczyn z zachodnich stanów. W jej przypadku był to Teksas. Ojciec Jenny pracował w przemyśle rafineryjnym i choć niejednokrotnie żaliła się, jak ciężko w tych czasach dorobić się na wydobyciu ropy, musiała przyznać, że gdyby nie poszła do Wellesley, nie byłaby w stanie zatrzymać swojego porsche.

W święta Bożego Narodzenia Peter pojechał do domu rodzinnego Jenny w Midland, w Teksasie, i poznał jej staruszka. Wielkiego Jacka Camerona. Serdecznego, bezpośredniego i nieco nieokrzesanego osiłka, który palił hawańskie cygara, rozdawał przyjaciołom medaliki świętego Krzysztofa (choć nie był katolikiem), miał potężne dłonie i czerwone policzki. Jenny zawsze mówiła do niego „tatku". Peter zwracał się do swojego ojca, który pracował w bankowości, „ojcze", albo – w rzadkich chwilach bliskości – „tato". Doszedł do wniosku, że na tym polega różnica między Massachusetts i Teksasem.

Jenny miała na sobie czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy z głębokim dekoltem, który podkreślał jej

pełne piersi i – nie wiedzieć czemu – właśnie fakt, że był to jednoczęściowy kostium, a nie bikini, stanowił w oczach Petera największy problem.

W milczeniu wytarła się ręcznikiem i położyła na materacu. Ugięła nogę i Peter spojrzał na szczupłe kolano, smukłe udo i cudownie gładką linię łydki. A niech to!

Uniosła głowę i musnęła palcami skórę tuż pod obojczykiem.

– Schodzi mi skóra? – spytała.

– Chyba nie. – Peter starał się nie patrzeć na jej piersi.

Uśmiechnęła się, pokazując urocze dołeczki, a on po raz kolejny pomyślał, jak zwodniczy był jej anielski wygląd.

– Mam nadzieję – mruknęła. – Podaj mi krem do opalania, dobrze?

– Chcesz, żebym cię nasmarował?

– Dam sobie radę – odparła, sięgając po tubkę. – Ale dzięki, że zapytałeś.

Położył się na plecach i mrużąc oczy, spojrzał na słońce. Jenny nigdy nie dała mu szansy ani żadnej sposobności. Zawsze tak było i Peter miał przeczucie, że nadal tak będzie – chyba że zrobi coś, co to zmieni. Może powinni zmienić otoczenie. Cannes było miłe, ale zbyt dobrze znane. Oboje byli tu wcześniej.

Nagle przypomniał sobie o ulotce, którą dzień wcześniej przeglądał w biurze podróży. Potrzebował nowego, odludnego miejsca, czegoś eleganckiego i położonego na uboczu. Tamten hotel mógłby się nadać. Próbował przypomnieć sobie, co wyczytał z broszury:

trzysta pokoi, cztery sale restauracyjne, salon fryzjerski, sklepy, klub nocny, baseny i korty tenisowe. Odcięta od świata, mała luksusowa społeczność na Costa Brava.

Warto spróbować.

– Dość mam już Cannes – oznajmił. – Jedźmy gdzieś indziej.

Spojrzała na niego, przysłaniając oczy ręką.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Co masz na myśli?

– Hiszpanię.

– To za daleko – stwierdziła. Zamknęła oczy i położyła się z powrotem.

– Dojedziemy tam w ciągu dwóch dni.

– Do Costa Brava? – Otworzyła oczy i spojrzała na niego z zainteresowaniem. Czyżby wyczuł w jej głosie radosne podniecenie? Nie potrafił powiedzieć.

– Tak – odparł. – Znam tam pewne miejsce.

– To jest myśl – przyznała. – Może porozmawiamy o tym później? Chcę się chwilę zdrzemnąć.

– Jasne. Porozmawiamy później.

Nagle poczuł się dużo lepiej i odprężony położył się na materacu twarzą do słońca.

. . .

Jenny Cameron udawała, że śpi. Kiedy kostium kąpielowy wysechł, a skóra nagrzała się od słońca, ogarnęła ją dziwna, potężna żądza. Przez moment wierciła się na materacu, aż w końcu przewróciła się na brzuch. Potrzebowała mężczyzny. Od ostatniego razu

minęły miesiące, a ona coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Peter nigdy nie spełni jej oczekiwań.

Tatko dał jej to do zrozumienia w ubiegłe święta. Po tym, jak poznał Petera, powiedział jej na osobności: „Znajdź sobie mężczyznę, Jen. Pewnego dnia zniszczysz temu dzieciakowi życie".

Nie wzięła sobie do serca ojcowskiej rady. Miała nadzieję, że w Europie, z dala od harwardzkiego snobizmu, Peter się odpręży i będzie się zachowywał naturalnie. Był przystojny i pociągał ją za każdym razem, gdy udało mu się zapomnieć, że nie należy do klubu Porcellian, chociaż pochodzi z dobrej rodziny, nosi ubrania szyte na miarę i jeździ najnowszym modelem jaguara – fajnym samochodem, XKE w kolorze butelkowej zieleni, ale stosunek Petera do niego był typowy. Upierał się, żeby nazywać auto jag-u-arem, na angielską modłę. To smutne. Najwyraźniej Peter nie zamierzał się relaksować. Wielka szkoda, bo to znaczyło, że Jenny będzie musiała poszukać innego mężczyzny, a wiedziała z doświadczenia, że mężczyzn, którzy byliby w stanie ją zadowolić, jest niewielu i w dodatku trudno ich znaleźć.

A teraz Peter wymyślił podróż do Hiszpanii. Czyżby myślał, że wskoczy mu do łóżka tylko dlatego, że to hiszpańskie łóżko, nie francuskie? Jeśli tak, był głupcem i wkrótce się o tym przekona. Z drugiej strony może zmiana otoczenia sprawi, że w końcu wrzuci na luz. Niemal bezwiednie zaczęła ocierać udo o udo, powoli, w górę i w dół. Z trudem się powstrzymała. Postanowiła, że w Hiszpanii da mu ostatnią szansę.